

Stanisław Mikke

Tu Rozgłośnia Polska

Palestra 37/11(431), 67-69

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



STANISŁAW MIKKE

„Tu Rozgłośnia Polska

Radia Wolna Europa. Uwaga! Uwaga! Podajemy najświeższe wiadomości z kraju. W dniu dzisiejszym na ulicach Warszawy białe syberyjskie niedźwiedzie zaatakowały dziatwę, udającą się na rekolekcje wielkanocne”.

Wielu zapewne pamięta ten i inne dowcipy, których źródło powstawania upatrywano w Departamencie III MSW. Ośmieszanie i obrzydzanie przybierało różne formy. Bardziej wyrafinowane i zwyczajnie prostackie. Były zarzuty o agenturalną współpracę pracowników Wolnej Europy z Abwerą i Gestapo, przyjaźnie z dyżurnymi, osławionymi rewizjonistami Czają i Hupką, a także pomówienia czołowej postaci tego radia o sodomie. Dyspozycyjni dziennikarze opatrywali swe ataki na ludzi z Monachium „wyszukanymi” tytułami. „Docentura zdrady”, „Droga do zdrady”, „Licytacja zdrady”, „Anatomia zdrady”, „Głos wolnego szczekacza”, „Szmal od diabła”, „Ochwacone perszerony...”, „Kablowane jęki, stęki i zgrzytania zębów” i tak dalej, dalej można byłoby ciągnąć tę zabawę. Cytuję owe tytuły za książką

Jerzego Morawskiego pt. *Głosy z Monachium*, która właśnie ukazała się nakładem Wydawnictwa Interpress. Ten, jeden z najwybitniejszych polskich dziennikarzy, dziś publicysta „Życia Warszawy” zdecydował się na swojego rodzaju reportaż o ludziach w RWE. Nie powstała jednak laurka dla Rozgłośni. Jerzy Morawski konsekwentnie unika ocen. Oddaje inicjatywę swoim interlokutorom. Obraz Wolnej Europy daleki od hagiograficznego wykreowali zatem sami jej pracownicy. A w sposób szczególny został dopełniony wypowiedziami byłych funkcjonariuszy MSW: łatwego do zidentyfikowania generała i popularnego kiedyś „asa wywiadu”.

Można byłoby oczekiwać, że jest to relacja o tych, którzy spełnili już swoją misję. O czasach minionych i raz na zawsze przebrzmiałych. Książki tej nie odbiera się jednak z dystansem, jaki miewamy do zamkniętej historii. Bo choć rozmówcy autora często wspominają swoje kombatanctwo, dalsze i bliższe, to aktualności i to zaskakujących nie brakuje. Zwłaszcza ta aktualność objawiła się po wrześniowej niedzieli,

która, jak przewidują niektórzy, zapisze się czerwonymi zgłoskami.

Morawski opisuje między innymi, jak to pracownicy RWE z przerażeniem przyjęli zalecenie „odchudzenia” archiwum po upadku komunizmu. Zniszczono już tak zwane raporty z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, a także nie wiadomo, w jaki sposób i kiedy zapisy ataków na rozgłośnie – kto i jak ją opluwał, bo to dziś dla wielu – jak pisze autor – fakty mogące zaszkodzić karierze. On jednak nie idzie na żaden kompromis. Pisze, że w dobrym towarzystwie Władysława Machajki, Kazimierzów: Kąkola i Koźniewskiego, Klaudiusza Chrabyka, Józefa Ozgi-Michalskiego – celujących w niewybrednych paszkwilach – znaleźli się ci, którzy dzisiaj przybrali inne, bardziej wygodne szaty. Na naszych łamach oszczędzimy im tych przypomnień, również znanemu publicyście społeczno-prawnemu.

Jerzy Morawski zbierał materiały do tej książki ponad rok temu. Nie wiem, co myślał rozmawiając wówczas z Teresą Karaszewską pracownicą polskiego archiwum RWE. Ale nie przypuszczam, żeby zakładał, iż zapis jej dotyczący nabierze wkrótce takiej „na czasie” wymowy. Zacytujmy: *Teresa Karaszewska, która musiała ustalić, co przeznaczyć do kosza, a co do uratowania, po kilku tygodniach bicia się z sobą i wątpliwości, że niszczy rzeczy bezcenne, uciekła na urlop, chcąc chociaż na miesiąc powstrzymać zagładę archiwum. Może w tym czasie coś się takiego zdarzy, że Amerykanie nadal uznają zbiory za cenne.*

Ale nic wówczas się nie zdarzyło. Nie udało się zatem uratować na przykład

dokumentacji dotyczącej zastępców członków KC. Powiodły się natomiast inne wysiłki niestrudzonej archivistki. Uratowała karty personalne byłych towarzyszy ze średniego szczebla.

– *Przecież – mówi pani Karaszewska – nie wiadomo, kiedy nagle wypłyną. Nic jeszcze się nie wyjaśniło, nic do końca nie jest pewne.*

Takich smaków w tej książce jest znacznie więcej. Polecam jej lekturę. I to nie z pozycji byłego lub obecnego, wiernego i bezkrytycznego słuchacza tej rozgłośni. Słuchałem jej, zapewne jak większość, nieregularnie, częściej w okresach burzliwych wydarzeń. Nie raz bywało, zżymałem się na przesadną retorykę propagandy i na to, co dziś zwykło się określać idiotycznym słowem: przekłamania. Ale, mój Boże, czegoż wymagać podczas bitwy w kilkudziesięcioletniej „zimnej wojnie”, jeśli we wrześniu 1939 r. wieczorne „Wiadomości” telewizyjne podały bezmyślnie za... Agencją Reutera, że w katastrofie lotniczej na Okęciu zginęło 40 osób, gdy w rzeczywistości były dwie śmiertelne ofiary.

Czytając książkę Jerzego Morawskiego nie sposób postawić, pojawiającego się i przy innych okazjach, pytania, czy polsko-języczne radiostacje nie straciły już racji bytu. W wolnej Polsce spadła przecież drastycznie liczba ich słuchaczy zarówno tych stałych, jak i z przypadku.

Otóż wydaje się, że sensu istnienia polskich RWE, BBC i Głosu Ameryki należy upatrywać z dwóch powodów. Z jednej strony rozgłośnie te w znacznie większym stopniu od krajowych są zdolne i skłonne ukazywać sprawy polskie w kontekście spraw europejskich i świa-

towych. Z drugiej nie są uzależnione bezpośrednio od ośrodków politycznych w kraju i bardziej odporne na ich wpływy, jakich, żeby nawet nie wiem co, nie da się uniknąć, żyjąc pod tym samym niebem. A do jakich granic może dojść to „oddziaływanie” najlepiej przekonaliśmy się przed wyborami. Prezes Komitetu ds. Radia i Telewizji, popierany w swym pomysle przez dwa ugrupowania rządzące, sprzeciwiał się emitowaniu programów wyborczych w godzinach najwyższej oglądalności, albowiem istnieje, jak twierdził, „umiarkowane zainteresowanie społeczeństwa wyborami” i zmartwieniem Janusza Zaorskiego było (trzeba nadal trzymać się dobrze tego, na czym się siedzi, żeby nie spaść, gdy czyta się takie słowa szefa państwowej telewizji), że te programy wyborcze „pozabawiłyby większość widzów możliwości oglądania oczekiwanych przez nich programów i filmów” („Życie Warszawy” z 17.08.93 „Polityka czy filmy?”).

W ostatnich latach zdarzyło mi się uczestniczyć kilkakrotnie w programach dwóch polskojęzycznych rozgłośni. Pamiętam, jak po jednej z dyskusji o zbrodni katyńskiej wszyscy jej uczestnicy zaczęli mówić prawie jednocześnie o tym samym. Że gdyby kilka lat wcześniej ktoś nam przepowiedział, iż w Warszawie, przed mikrofonami Radia Wolnej Europy będziemy rozmawiać na temat mordu w Katyniu, Charkowie i Twerze, uznalibyśmy takiego proroka za osobę niespełna rozumu.

Dziś dla wielu nadszedł czas innych, czarnych, przepowiedni. Wiadomo jakich. Czy mogą się sprawdzić? Nie sądzę. Choć istnieją różne niebezpieczeństwa. Groźne. Których może lepiej nie wypowiadać. Bo według pewnej teorii rzecz się zdarza w chwili opowiedzenia. Później musi się już tylko zmaterializować.

30 września 1993 r.